

Wychodzą we *Wtorek*,
Czwartek i *Sobotę*. We
Lwowie prenumerata ro-
czna 6 Złr. półr. 3 Złr.
kwartał. 1 Złr. 30 kr.
miesięcznie 40 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
czątkową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k. Równy
mód kwartał. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pi-
smem petyt w przedział-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr. za na-
stęp. po 1 1/2 kr. i za do-
płatą 10 kr. stępi za ka-
żdorazowe umieszczenie
Biuro ekspedycji w księ-
garni *H. W. Kallenbacha*.

KRÓL DZIADÓW.

V.

Bal w miasteczku.

(Ciąg dalszy).

Ojciec kaznodzieja przestał już odpowiadać na ten temat dobrze sobie znany, i w tej chwili nie mógł, bo był zajęty śniadaniem które mu zastawiła gościnną gospodyni. A nareszcie nieraz już ale zawsze nadaremnie wzywał ją do zgody chrześcijańskiej.

— Ja z nią, nigdy nigdy! odpowiadała z rzymską statecznością... Chyba w grobie!... a i tam nie!... bo ona pójdzie prosto do piekła.

Biedny ojciec kaznodzieja, człowiek rozsądny i lubiący spokój, już tylko krzątał na to, bo wiedział z doświadczenia, że polemika z panią Szumską, to prawdziwe kazanie na puszczy.

Na drugiej stronie Basia i Teklusia siedziały przy oknie i coś bardzo żwawo szyły. Kończyły jakiś przybór do stroju balowego. Po drugiej stronie okna na ogródek wychodzącego, stał pan Aktuarjusz w przesadnej i malowniczej, jak mu się zdawało, pozyturze. Oczami na wierzch wysadzonemi zwycięsko, jak był tego pewien, strzelał na obie panny, zachowując zupełną równowagę między niemi. Jedną ręką poprawiał spiczaste kołnierzyki, które do nosa mu prawie zaglądały, a w drugiej ręce trzymał gitarę...

Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Jozafat, takie miał imię, posiadał i talenta, czyli raczej jeden talent dzwonięcia najfalszywiej na hiszpańskiej gitarze. Umiał nawet śpiewać, i miał nawet na rozkazy dwie piosnki, jedną polską, drugą niemiecką, obie na jedną nutę, bo polska:

Już się zbliża ta chwila rozstania!... była tłumaczeniem niemieckiej:

Sie naht, sie naht, die fürchterliche Stunde!...

Właśnie zbierał się do powtarzania wypadającej z kolei niemieckiej, gdy Teklusia podniosłszy się trochę z krzesła, uderzyła go po rękę, ustrojonym w olbrzymi sygnet krwawnikowy z wyrytym jakimś apokaliptycznym dziwolągiem, który miał być herbem Szpiegowskich.

— Panno Teklo! pani mnie bijesz!... wyrzekł sentymentalnie, i sentymentalnie westchnął.

— Bo mnie pan nudzisz!...

— O! jabym chciał być tak nudzonym przez panią!... wymówił z przesadą, i dodał poprawiając się... przez panie.

— Wolisz mnie pan powiedzieć, którzy oficerowie będą na balu we dworze?...

— Teklo! ozwała się Basia surowo... a po chwili słodziej dodała zwrócona do aktuarjusza: albo przynajmniej zaspiewać co nabożnego.

— Moje nabożeństwo tu!... odrzekł i tryumfalnie pociągnął za lewy kołnierzyk...

Panienki zarumieniły się i obie spojrzwały z pod oka, czyli nie zdołają dostrzedz, ku której w tej chwili zwrócone było spojrzenie pana aktuarjusza. Lecz pan Jozafat miał rozum. Oczy wybałuszzył tak prosto, że nawet na żadną nie popatrzył, wzrok swój puściwszy pomiędzy obydwie.

I nastąpiło milczenie... wymowne próżnią dalszego konceptu we wszystkich trzech głowach.

— Co też to panie pięknego robią? zapytał nareszcie.

— Haftujemy chusteczki do nosa! odpowiedziała pani na Tekla.

— Bo to dzisiaj w modzie! dodała Basia.

— A wiem! wiem! to moda stołeczna! Jak byłem w stolicy!... przemówił z fantazją wielkiego znawcy mody, i bywalca, a kołnierzyki podciągnął do niepodobnej już wysokości. On w tej chwili był sam przekonany, że z swojemi kołnierzykami jest typem elegancji. Lecz nie dokończył bo mu Tekla przerwała.

— No i powiedz że mi pan, czy też pański goździk piękny?... rzekła śmiejąc się.

— Aha! goździk!... dodała Basia.

— Jaki goździk?

— Przecież pan wiesz o kogo się pytamy.

— O to należałoby kogo innego zapytać?...

— A kogo?... zapytały szybko i głośno obie siostry.

Ciekawość to jest zaleta małomieszczkańska, i dla tego plotka jest tam najwyższym dowcipem.

— Hrabia Eugeniusz bardzo często jeździ spacerem do pasieki Wiciewicza.

— Młody hrabia? zawołały rozciekawione. To być nie może... do ekonomówny... Opowiedz że nam pan! jak to było.

— To nie jeszcze!... ale stary Wiciewicz czegoś jedzie do swojej pasieki...

— Ale te! ten stary grzyb... rzekła Basia.

— To to będziemy dziś sekować młodego hrabiego, powiedziała Teklusia.

I zaśmiała się i wszystko troje śmieli się, jakby z najlepszego konceptu.

W czasie tej rozmowy, która ciągnęła się dalej, przerywana czasem tylko brzdąkaniem na gitarze, ojciec panny Basi i Teklusi, którego mimochodem odwiedzimy, siedział w swojej kancelarji przed stołem, napełnionym papierami, systematycznie ułożonemi. Nie pracował zupełnie, ale za to ciągle przypatrywał się sobie samemu, bo naprzeciwko wisiało lustro, powiernik jego samolubnych i zalotnych myśli. Szanowny Szumski miał się za pięknego, i medytował właśnie jak się będzie umizgać na balu do pani aptekarkarkowej, która oddawna mu wpadła do oka i serca, niepospolicie łatwo zapalającego się.

Przy tej samej sposobności rozważał on głęboko nad ważnem bardzo pytaniem, czy wziąć na bal czarny frak czy niebieską czamarkę. Pytanie było nie lada jakie; bo frak dodaje mu powagi, a czamarka wdzięków. Była to walka justycjarjusza z człowiekiem.

Medytacją przerwało lekkie zapukanie do drzwi. I wszedł znajomy już nam żebrak, którego poznaliśmy już w rozmowie z Eugeniuszem. Na twarzy żebraka przebijała się zuchwała przebiegłość i udana pokora...

— Niech będzie pochwalony! wyrzekł kłaniając się nisko.

Pan Szumski zobaczywszy wchodzącego, przybrał co prędzej jedną ze swoich min najwięcej urzędowych i porwał pióro do ręki, udając mocno zajętego...

— Czegoż znowu chcesz ty stary łotrze! przemówił do niego, a z pod oka popatrzył na ręce jego i na wiszące sakwy. Ręce były próżne, ale sakwy zdawały się być napchane. Na ręce skrzywił się pan sędzia, do sakwów uśmiechnął się:

— Czegoż stoisz! widzisz przecie że jestem zatrudniony.

— Pan sędzia dobrodziej zawsze tak bardzo pracuje, mówił żebrak spiewającym jak zawsze głosem, i rękę wsadził do torby.

— Mówże prędzej! ozwał się sędzia zawsze zachmurzony.

— Ja, proszę jegomości, przychodzę od Wasyla...

I zbliżył się żebrak do stolika, a z torby ozwał się głos jakiś. I pomału wysunęły się z niej dwie głowy kacze.

— Cóż to znowu u diabła!... z kaczkami jakimiś przychodzisz...

— I z jajami! proszę jegomości. Jutro jarmark!.. my biedaki chcielibyśmy zarobić nieco pieniędzy.

— Ja nie pozwalam żebrać!... wiesz o tem!... idź precz!... Żebrak nic nie odpowiedział, tylko z drugiej torby zaczął dobywać jaja.

— Wasyl prosi jegomości, by kilku z nas mogło zająć niektóre miejsca; ja będę przy kościele, Hryćko z krzywą ręką na placu koło Icka, a...

— Niewolno!...

— Tu jest kopa jaj, a same świeże!.. i prosił Wasyl, żeby policjant nie puszczał innych żebraków tylko naszych, a będą mieli znaczek od Wasyla.

— Raz powiedziałem, że nie wolno.. Ja was odczętej żebraniny. Ty i twój Wasyl pójdziecie do kozy.

— Jest i osełka świeżego masła, takie śliczne i żółte.

— Do kroćset djabłów dosyć już tego.. Ja nawet z tobą gadać nie chcę, bo jeszcze by kto myślał, że ty śmiesz przynosić mi jakiego kubana...

— I jeden bundz, prosto z gór!..

— Zaczynasz mnie niecierpliwic!.. Jeszcze kto dostrzedz gotów. Idźże mi zaraz precz, pókiś cały..

— A gdzie? proszę jegomości łaskawego: przemówił z uśmiechem naiwnie przebiegłym.

— Ta do kuchni głupcze! tam musi być żona moja. Idź mi precz ztąd; to przecie kancelarja, odpowiedział pan sędzia z miną jeszcze surowszą.

Żebrak się uklonił jeszcze niżej, przybrał postawę niby zastraszoną, i zagarnawszy jaja, które już był wyjął, wyszedł z kancelarji. Pan sędzia spojrział za nim z pod oka raz jeszcze, i wzrokiem znawcy kacze objął głowy. Żebrak zostawił u samej sędziny przyniesione i kaczkę, i jaja, i masło, i bundza, i wymknął się z sędziowskiej zagrody. Pan sędzia tymczasem zadowolone rzucił w zwierciadło spojrzenie. Rad był z siebie, że tak po rzymsku prawdziwie wypełnił swój urząd. Mówiliśmy, że pan Szumski nie dla kształtu nosił głowę na karku, i był zewszeczmiar na wysokości swej posady urzędowej. Należał on do najzdolniejszych w okolicy mandatarjuszów. W kilka chwil później pojawił się policjant kulawy, co mu nie przeszkadzało wypełniać ważnych swych w miasteczku funkcji, do których nóg wcale nie potrzebował, wszakże miał ręce i gardło czysto policjańskie. Zajrzał on zdaleka żebraka i jako człowiek mocno doświadczony, wszedł zaraz do pryncypała swego, by posłuchać jego rozporządzeń...

— Co my też będziemy dalej robić z temi żebrakami? przemówił przyszedłszy aż do samego stolika.

— Głupis!...

Policjant uklonił się z dziękczynną i wielce pojętną miną.

— Ale bo to jakieś nowe żebraki aż z Stanisławowa przywandrowali na jarmark!...

— Głupis! do kozy z niemi!

— Ze wszystkimi żebrakami?.

— Głupiś! powtórzył pan sędzia po raz trzeci.

Policjant zrozumiał doskonale pryncypała swego i mruknąłszy...

— Wiem już! wiem!.. wyszedł co prędzej, aby dogonić jeszcze żebraka, w którego torbie znalazła się jeszcze spora wódki flasza. Nałajał, nakrzyczał, naszturkał nawet żebraka, ale butelczynę schował do kieszeni.

Idźmy teraz dalej w miasteczko. Niżej od zagrody pana sędziego zdybujemy inne jakieś obejście, z którego nie widać tylko kawał komina. Całe bowiem jest oparkanione ogromnie wysokim częstokołem. Podobne jest trochę do fortecy. I rzeczywiście zakrawa na fortecę ogromna brama, zawsze zamknięta na kłódkę. Jest to pomieszkanie pana Wiciewicza. Kto tamtędy przechodzi, mógłby się tam zupełnej domyśleć pustki, taka za częstokołem panuje samotna zda się cichość, jakby tam wszystko wymarło.

Wieczorem tylko i w nocy odzywają się mnogie głosy, to cieńsze, to grubsze, to chrapliwe, to śpiewające, głosy brytanów. Świat małomieszczański rozповідаł starą już zresztą facecją, że rzeczywiście żadnego za częstokołem niema brytana, i że sam Wiciewicz poszczekuje od czasu do czasu, by ciekawych złodziei przekonać o nadzwyczajnej czujności urojonych psów. A udanie to do takiej doprowadził doskonałości, że mógłby we względzie szczekania wyprawić koncert.

Mimo czujnych psów, zamkniętej bramy i wysokiego częstokołu, korzystając z powieściarskiego przywileju wejźmy na chwilę do pana prezesa. Domek dosyć stary, nie tyle przez wiek ile brak ciągłej staranności, równie jak całe obejście szczelnie zamknięte, nie tylko drzwiami, ale i oknami które po większej części deskami są zabite, wygląda na wyraźne pustkowie, gdyby nie... głośny kaszel, który odzywa się z wnętrza domu, suchy, chrapliwy, który rozchodzi się echem po pustych dworka izbach. Jest to kaszel Marty, jedyne domownika, jakiego Wiciewicz cierpi u siebie. Jest to daleka jakaś kuzynka, gospodyni i służka razem; exemplarz szkieletowy prawie, milczący i głuchy.

Głuchota u niej była dla Wiciewicza największą zaletą, i jej ona zawdzięczała to niepospolite dobrodziejstwo, stokroć jej wymawiane przez Wiciewicza, że od 1go stycznia aż do ostatniego grudnia może mrzyć głodem. Można ją nazwać prawdziwą męczenniczką, gdyby nie odwet, jakiego mszcząc się pozwalała sobie. Jeżeli stary zrządził na nią, co jej łatwo przychodziło mimo głuchego puszczać ucha, ona mu się odwdzięczała twarzą wiecznie zmarszczoną, tonem mowy piskliwie mrukliwym, i słowami, jakimi do swego pana i krewnego przemówiła. Nigdy ona pocziwie nie do niego nie przemówiła, ale lżyła go, jeżeli się kiedy odzywała wyraźnie, wyrazami, którym przynajmniej na szczerości nie brakowało. W tym wzglę-

dzie miała słownik wyczerpujący wszystkie nazwy skapcom dawane. Wiciewicz w takim razie udawał głuchego, i co raz mniejsze wykrawywał dla niej kromki chleba. Bo prócz chleba, soli, wody, i od czasu do czasu kilku kartofelek, żadna inna nie pokazywała się strawa w dworku starego kutwy, jak go powszechnie w miasteczku nazywano. Było tam jeszcze jedno stworzenie żyjące, którego los nie był godny zazdrości. Był to stary kot czarny, okropnej chudości, ulubieniec wielki samej Marty, która o niego srogie nieraz z Wiciewiczem odbywała walki. Wiciewicz uważał go za niepotrzebną zupełnie gębę, bo nawet myszy i szczury wyemigrowały z skapego domu.

Marta, która sama przyzwycała się z czasem do skapstwa, dla ulubieńca była szczodra, o ile być nią mogła. Chociaż czy przez skapstwo czy przez prawosć wrodzoną, własności Wiciewicza pilnowała jakby własnej, dla tego jedynie ulubieńca swego pozwalała sobie okradać pryncypała swego. Nad kawałkiem sera zapleśniałego, który skapiec długo chował, przyszło raz między kuzynami do walnej rozprawy. Wiciewicz przekonawszy się, że go kot spożył, chciał go zadusić.

Marta stanęła w jego obronie z oczami tak srodze iskrzącymi, że się aż Wiciewicz przestraszył, tem więcej, że zasłyszał wymruczone przez Martę słowa o tajemnicach pieniężnych, o które bał się więcej jak o życie. Najdotkliwsza jego stroną była bojaźń złodziei. Bojaźń ta była w nim manią i karą razem, nie dała mu ona jednej spokojnej przespać nocy, a choć zasnął kiedy snem niespokojnym, najokropniejsze trapiły go mary, przedstawiając mu w najpotworniejszych postaciach czyhające na jego pieniądze ręce złodziejskie.

Znamy już powierzchowność Wiciewicza, i w tej samej umbrelli i okularach widzimy go siedzącego w ciemnej sypialni, do której światło wpadało tylko przez jedną kwaterekę, okna wolno w górze zostawioną. Siedział na drewnianym zydelku, koło starego kufra, na który spoglądał wzrokiem rozpaczliwej pożądlivosti. Kilka razy pociągał ręką ku niemu, jakby go chciał otworzyć, i znowu cofał. Najwyższą dłań było rozkoszą, liczyć i przeliczać nagromadzone w nim pieniądze, to było jedyne jego użycie, zastępujące mu jadlo, napój i wszystkie życia wygody. Ale bał się za nadto często pozwalać sobie przyjemności, aby go kto nie wyszedł, to też choć nikt temu nie wierzył, on zawsze przed wszystkimi utyskiwał i płakał na goliznę, i dla tej to właśnie przyczyny głuchota Marty była dla niego najważniejszą zaletą. Nieraz w nocy gdy zajrzał do kufra i chudymi palcami przerzucał nabierane tam rozmaite monety, miłośnem pieszcząc je okiem, to jedno go uspokajało, że Marta nie może słyszyć dźwięku monet złotych i srebrnych.

Przemogła nareszcie żądza; pomału i ostrożnie otworzył kufer, podniósł wieko, i skulił się nad nim. W te

chwili coś mu zaświeciło w oczy, i tuż nad uchem ozwał się głos jakiś ponury, szczególnie. Zadrzał skąpiec ze strachu, krew się w nim ścięła, włosy stanęły na głowie. Podniósł przerażone oczy. Z wierzchu wieka podniesionego patrzyło nań dwoje oczów iskrzących i ten sam ozwał się głos jęklivy. To kot Marty siedział na wieku i ciekawym zdawał się patrzeć na skąpeca wzrokiem, miaucząc z cicha.

To już było za nadto dla skąpeca, on by w takiej chwili człowieka zabił, a cóż dopiero kota. Wyciągnął suche palce, ale kot skoczył nagle, schował się pod łóżko i rozniewanym pomrukiwał głosem. Zaprzestał dalszej gonitwy, bo się bał by miauczenie kota nie sprowadziło Marty, ale w duszy zaprzysiął sobie śmiertelną zemstę.

(C. d. n.)

DWAJ WĘDROWCY

(z Anastazjusza Grün).

Raz dwaj wędrowcy od bramy miejskiej
Poszli w alpejski świat czarodziejski;
Jeden z nich idzie bo tak chce moda,
Drugi bo w świat go dusza rwie młoda.

A gdy wrócili oba nareszcie,
Rzesza znajomych wita ich w mieście;
I wnet tysiącem pytań wystrzeli:
— Mówcie wędrowcy coście widzieli?

Jeden ziewając mówi niedbale:
„O nic zaprawdę dziwnego wcale
«Ot góry, łąki, strumyki, laski,
«Błękitne niebo i słońca blaski!»

Drugi to samo mówi, lecz w twarzy:
Uśmiech mu błyszczy, wzrok mu się żarzy:
«Ej! góry, łąki, strumyki, laski,
«Błękitne niebo i słońca blaski!»

A....

Tulczyn i Łabuń.

(Ciąg dalszy).

Nazajtrrz znowu byliśmy na pokojach z panem Protosowieckim; przystąpiłem z bojaźnią do straszliwego magnata i ośmieliłem mu się przypomnieć, że oddałem list ojca, na który o rezolucję proszę...

— Kiedy to WPan tu list oddałeś? zapytał.

— Wczora.

Kazał zawołać Sekretarza, który zaraz nadszedł.

— Gdzie jest list p. Ochockiego?

— W kancelarji.

— Kiedy kolej odpowiedzi?

— Za dwa dni.

— Za dwa dni więc przyjedziesz WPan i będziesz miał rezolucją. A o czym, dodał, pisze p. Ochocki?..

— Prosi o wypłatę siedmiu tysięcy złotych.

— Masz WPan mój dokument?

Pokazałem go natychmiast, kazał zaraz podać kałamarz, i napisał Solvat, a oddając mi go, rzekł:

— Gdy przyjdzie kolej ekspedowania, udasz się z nim WPan do kassy.

Żegnając kazał mi być na obiedzie, ale u stołu ani sam, ani nikt z familii nie był. Do sta jednak osób siedziało z nami, wszyscy co zwykle otaczali p. Potockiego, dwór cały. Między nimi znalazłem znajomego p. Dyźmę Tomaszewskiego, później jak wiadomo, Sekretarza Konfederacji Targowickiej i p. Wigurskiego. Ci mnie oba protegowali w Tulczynie. oprowadzali i pokazywali wszystko. Za dwa dni przyszedłszy do kassy; tu nas ani minuty nie zatrzymano na próżno, pieniądze już były odliczone, procent do nich dołączony i list do mojego ojca gotów.

....Sędzia Bukar w ścisłych był stosunkach ze Stempkowskim, który świeżą dostał promocją na Województwo Kijowskie i wielkie miał znaczenie tak u dworu, jako i między magnatami. Jego to myślą szczęśliwą było umieścić mnie u Wojewody; jakoż polecił mnie, szczególnie rekomendując do usług jego. Nie miałem w rzeczy żadnego obowiązku ani pensyi u pana Stempkowskiego, byłem przy nim jak młody człowiek, szukający protekcji i poparcia u pana, który, jak się to niżej objaśni, przed czterema laty największą niesprawiedliwość familii naszej wyrządził. Z nietajonym więc wstrętem wstępowałem na dwór pana Wojewody; wiedzieli o tem pan Bukar, ojciec mój i stryj, ale usiałem go przyzwyciężyć.

Ojciec przy pożegnaniu rzekł do mnie:

— Bądź wierny i przychylny panu Stempkowskiemu; może Bóg cię przeznaczył na narzędzie, abyś interesa familji podzwignął. Ziściło się jak przepowiedział. Ojciec i stryj nazaczyli mi po pięćdziesiąt dukatów pensyi na utrzymanie; pierwszy raz mi tylko dał dwadzieścia pięć dukatów, drugi raz 20; stryj aż do przemiany na wyższą regularnie ją wypłacał.

W r. 1786, na Trzy Króle, sędzia Bukar przywiózł mnie sam do Łabunia i oddał panu Wejewodzie. Zastalem tam ośmiu młodych ludzi, synów obywatelskich, pod imieniem assystentów bawiących; był pan Stempkowski, rodzony synowiec pana Wojewody, Podkomorzyc J. K. Mości; drugi Starośc Gnidawski; pan Gawroński, Podkomorzyc ta-

kże; pan Drohojewski, Kasztelan; pan Starościc Zakrzewski, a na ostatku Cześnikowicz, to jest ja. Tak pan Wojewoda mianował nas każdego po urządzie ojców, a za nim i dwór cały w ten sposób nas nazywał. Ale tamci byli to młodzi ludzie, synowie rodziców majątnych; mieli pyszne garderoby, konie własne i powozy, ja zaś, choć z łaski mojej wdowy miałem odzież porządną i dostatnią, wyrównać im nie mogłem co do ekwipażu i wierzchowców, bo mi na tem całkiem zbywało; konie miałem na zawołanie ze stajni pana Wojewody.

Jakem tu tylko przybył, przy mnie zaraz, sam polecił to koniuszemu, a gdyśmy w dalszą jaką podróż lub z wizytą gdzie jechali, ja z nim w karecie zawsze, a tamci w swoich ekwipażach. Obowiązki do spełnienia nie były ciężkie. Po dwóch z nas codzień bywało na dyżurze, a wszyscy mieliśmy za powinność damom roznosić dzień dobry, wprowadzać je na pokoje, wyprowadzać do mieszkań, bawić je, tańcować z nimi i robić honory domu. Od rana do pory w której następowały tańce, co rzadko którego dnia chybiało, wszyscyśmy być musieli przy pałaszach, w mundurach wojewódzkich; na bal w sukniach galowych. W takim położeniu jak moje, rzadkoby który młody człowiek o przyszłości pomyślał; mnie jednak przychodziło nieustannie na pamięć, jak stracę moje dwieście dziesięć czerwonych złotych, suknie się wytrą i opłowieją, pasy wyszarzają, co wówczas pocznę? W istocie było się czego lękać, ale Opatrzność czuwała nademną.

Zwróciłem usiłowania wszelkie i gorliwie starać się począłem o pozyskanie życzliwości i względów pana Wojewody. Koledzy moi grywali w karty i często się zgrywali, ja kart nigdy w rękę nie wzięłem, wiedząc, że pan Wojewoda tego nie lubił, i sam w żadną grę nie grał, chociaż na pokojach były stoliki i goście grywali w karty. W dyżurze nie pilnowałem kolei, co dzień od rana do wieczora służyłem, jakbym był do tego obowiązany. Co się tycze kart, musiałem panować nad sobą, bom nadzwyczajną miał do nich skłonność; to wszystko musiało zwrócić uwagę pana Wojewody, gdyż wkrótce zaczął mi okazywać widocznie szczególne i wyłączne względy.

Zastalem Łabuń na wielkiej stopie, tak co do okazałości jak i etykiety, kuchnię wytworną, muzykę złożoną z wirtuozów, ekwipaże paradne, usługę liczną i zbytkownie ubraną, zgola dwór magnacki, którego życie zastósowane było do rangi i posady wysokiego senatora, równając się w okazałości i formach Tulczynowi. Łabuń był niezmiernie ożywiony ciągle, codziennie przybywali nowi goście, lokując się to w pałacu, to w oficynach, a nawet w dworakach i domach żydowskich, na ówczas bardzo porządných; które czasem jak napchane były przyjeżdżającymi.

Pojechaliśmy do Pulin, do pana Hańskiego, który świeżo wyrobił sobie order przez pana Wojewodę; wracając,

pan Stempkowski był w jak najlepszym humorze, i mówiąc do mnie o czemś, zawołał: Mój Duklanku!

Na to ja, jakeśmy siedzieli w karecie, padłem mu do nóg, prosząc aby mnie tak zawsze, a nie urzędem ojca, Cześnikowiczem nazywał.

— Moi koledzy, dodałem, Kasztelan, Starościc, Podkomorzyc, jakaś przez to wyższość mają przedemną, ja tylko jeden jestem biednym Cześnikowiczem.

Pokręcił wąsa wojewoda i rzeknie:

— Widzę twoją przychylność dla mnie, będę się starać promować cię.

Przyjechawszy do Łabunia wyprawił zaraz kuryera do generała Lubowidzkiego, w parę dni powrócił posłany, a pan Wojewoda oddał mi Fortrag, jako dającemu dwóch sowitych pocztów, na noszenie munduru z oficerskimi znakami, to jest gwiazdką na szlifie, kordonem, feldcechem i pendentem srebrnym.

Było to w salonie; Wojewoda nazwał mnie zaraz panem Chorążym Ochockim... trudno wyrazić radość i wdzięczność moją; zdawało mi się jakbym generałem został.

Po obiedzie zaraz prosiłem o urlop na dni sześć do Berdyczowa, dla sprawienia sobie mundurów.

— A maszże pieniądze? zapytał Wojewoda.

Wyjąłem worek, który zawsze nosilem przy sobie i pokazałem że mam dwieście dziesięć dukatów.

— Ale ja za trzy tygodnie jadę do Warszawy, odezwał się Wojewoda, a ty ze mną, tamby ci się one przydały.

— Napiszę do ojca i do stryja, oni mi cokolwiek przyślą.

Pojechałem do Berdyczowa i duchem sprawilem sobie dwa mundury, cały uniform, który mnie kosztował 70 czerwonych złotych; w nim prezentowałem się zaraz na pokojach, i widziałem że mi moi koledzy zazdrościli, ale czy niechcieli czy nie umieli oto prosić pana Wojewody. Oni się przesadzali w cywilnych ubiorach, w czem mnie mundur był bardzo na rękę, zastępował bowiem i drogie suknie i drogie pasy, w których codzień potrzeba było występować na bal; zaszczędziłem pasów, które mi się bardzo potem przydały.

W maju ruszył pan Wojewoda do Warszawy, a w sierpniu powróciliśmy; jezdziło z nami pięciu moich towarzyszków, reszta za urlopem do domów się wybrali. Nic wyrównać nie może porządkowi i wygodzie w podróży; wszystko jechało z nami, kuchnia, bufet, piwnica, wszelkie wygodki jak w Łabuniu, 60 kilka koni, rachując z asystenckimi, wiozło dwór i zapasy.

C. d. n.

NOWOŚCI LITERACKIE.**Spotkanie w Salzbrunn**

opowiedziane przez J. Korzeniowskiego.

Z pomiędzy wszystkich niemal powieściarzy naszych, nasz Korzeniowski ma ducha prawdziwie twórczego, co to z niczego coś utworzy, ducha artystycznego, który w piszącym jest jakby owa laska cudowna, za której dotknięciem z łona martwej skały wytryska źródło żywej wody. Niema przedmiotu tak drobnego, szczegółu na oko tak mało znaczącego, z którego gdy się go dotknie nasz znakomity powieściarz nie potrafiłby wydobyć kwiatka poezyi, pełnego barw, woni i świeżości. To co drugiego nie uderzy zupełnie, lub co gorzej uderzy tylko swą zimną i objętą dłoń powierzchownością, dla Korzeniowskiego odsłoni wnet jakąś stronę tajemną, z której poeta umie korzystać. I tworzy się jakaś sympatja między tym przedmiotem, szczegółem czy sceną a pisarzem która rozpromienia scenę, i przez konieczny wpływ tejże siły sympatycznej, tajemna piękność przedmiotu uczuciem poety podniesiona, oddziałuje na czytelnika.

Jest to właściwość jego talentu, jest to właściwość prawdziwego artysty który umie się na świat i jego zdarzenia z wyższego zapatrywać stanowiska. Dla tego też zdaniem naszym niczyje utwory nie dają się czytać z taką przyjemnością, jak jego powieści, mianowicie te drobniejsze szkice jego, w których najmocniej uderza to jemu właściwe połączenie analizy i uczucia. Analiza odkrywa mu najprawdziwsze stanowisko z którego może odkryć artystyczną opisaną sceny piękność, a uczucie własne przelewa w pismo; i tym sposobem najmniejsza z jego powiastek ma pewną myśl wyższą, pewną dążność poetyczną.

Jednym z takich utworów jest to małe opowiadanie w którym z szczególną prostotą, opisuje powszednie zdarzenie, a przecie kryje się w nim i myśl wyższa, i dążność prawa, a dobywa mnóstwo niespodziewanego uroku poezyi. Tylu ludzi jeździło i jeździ po całym świecie, i zdybuje nieraz jakąś intrygę miłosną, która im ani umysłu nie rozbudzi, ani uczucia nie poruszy. I Korzeniowski zdybuje tu przypadkiem jakiś lekki, ledwie dostrzeżony zarys zdarzenia, i pod piórem rośnie on w całość ukladając się artystyczne wykonanie.

Lecz słuchajmy sami jak opowiada, bo żaden opis nie odda wdzięku jaki zawiera każdy niemal ustęp, między którymi tak trudny jest wybór, że ledwie oprzeć się można by je tu wszystkich nie przytoczyć.

„Siedzieliśmy milcząc w wagonie i dojeżdżaliśmy do Rokicin. Już było po jedenastej i południe zaczęło objawiać przybliżenie swe wymownem pomrukiwaniem głodu. Przywodził on nam na myśl trybunalskie miasto, do któregośmy się zbliżali, ową przeraźliwą muzykę, która tam

wita spieszących do stołu podróżnych, i przeraźliwszy jeszcze głos gospodyni, biegającej od jednego gościa do drugiego i kładącej w ucho temu bifsztok z kartofflami, temu poładwicę z sosem, innemu ową nieśmiertelną pieczeń cielecą, z którą w żadnej polskiej i niemieckiej restauracyi jeszcze się nikt nierozmiał. Głód i milczenie usposabiają człowieka do obserwacyi; a że głód, oprócz tego że zaostrza wzrok i pojęcie, daje jeszcze zły humor, obserwacje te bywają zwykle surowe i wypadają ze szkodą tych przedmiotów, które wówczas pod oko i krytykę podchodzą. Ztąd to zapewne wynikło, że siedząc w kacie, i kiedy niekiedy połykając slinkę na samą myśl tego bifsztoku, który mię czekał w Piotrkowie, znajdowałem, że okolica przed Rokicinami obrzydliwa i nudna, że kompanja, z którą jechaliśmy, jakaś niesmaczna i twarze wszystkie brzydkie, ordynaryjne, nie mające na sobie żadnego piętna myśli i niewarte zajęcia. Słowem, byłem w takim usposobieniu, że gdybym był wówczas siedział przy swoim stoliku i miał przed sobą jaką nową książkę, napisałbym może o niej tak, jak czasem o mnie pisze pan... ale dam pokój cytacjom. *Nomina sunt odiosa.*”

Przyjeżdżają; pociąg staje, wskakuje do wagonu młoda i ładna kobiątka, która i wdziękiem całej powierzchowności i wyrazem twarzy, i zgrabnością swą i strojem nawet uderza go. Podróżny przypatruje się jej, i zdaje mu się że dostrzega jakiejś tajemnicy. Cały ten epizod z wdziękiem i lekkością napisany.

„Usunąłem się prędko i zrobiłem miejsce wchodzącej kobiecie, która mi podziękowała kiwnieniem głowy, wzięła swój worek i ulokowała go przy przeciwnych drzwiczkach, na drugim końcu wagonu usiadła. Wszystko to zrobiło się z tym pośpiechem, do jakiego para przyzwyczała Europe. Wszakże mogłem dostrzedz, że nowa ta towarzysza naszej podróży była młoda, piękna, kształtna, dość słusznego wzrostu, bardzo zgrabnej i foremnej kibici, że miała włosy ciemne, oczy błękitne, czoło gładkie i białe, usteczka trochę blade, ale przesliczne, zęby zdrowe i czyste. Ponieważ zaś zwróciła na siebie moją uwagę i zacząłem zaraz śledzić każde jej poruszenie, dostrzegłem także i to, że okazała cokolwiek niepokoju, widząc, że wagon prawie był pełny, i poglądała na jedno miejsce puste, które jeszcze zostało, niby z obawą, aby nie było przed czasem zajęte. Im dłużej przeciągały się owe pięć minut które na stacjach naszych znaczą czasem dziesięć i piętnaście, w miarę dobroci herbaty i mocy araku, jaki się znajduje w bufecie, tem większy niepokój wybijał się na twarz mojej nieznamomej, i oko jej duże i piękne jakby z trwogą patrzyło na każdą osobę, która do wagonu zaglądała.

Nareszcie zadzwoniono po raz pierwszy. Zdawało mi się, że głos ten dzwonka wprawiał ją w mimowolne drżenie, że jej twarz jeszcze mocniej pobladała, że spojrzawszy

ku drzwiczkom otwartym i widząc tylko kręcących się żydów jakby westchnęła i straciła już nadzieję, którą może długo wykarmiła w swem sercu. Pewny byłem, że kogoś wygląda, kogoś czeka; że ten ktoś nieprzybywa i może wcale nieprzybędzie. Gdy to wszystko wyczytywał na jej czole, w jej oczach i ruchach, przed drzwiczkami wagonu przemknął się spieszenie jakiś mężczyzna słuszny, wąsaty, z twarzą wyraziłą i przystojną. Nie zajrzał on do wagonu i poszedł dalej, ale nieznamo dostrzegła go, lekko wykrzyknienie, jakby chęć nazwania go i przywołania, wyszło z jej piersi, ramię na twarz jej wystąpił i oczy błysnęły dziwnie, a jak dla mnie bardzo zrozumiale. Podniosła się nawet nieznacznie, chcąc zapewne pokazać się we drzwiach i dać znak że się tu znajduje; ale się zmiarkowała, usiadła znowu i zatarłszy rączki, okazała jakby zły humor i jakby zagniewanie czy na siebie, że się zdradziła, czy na owego pana, że nie spojrział właśnie tam, gdzie spojrzeć należało.”

Pojawia się znowu mężczyzna, lekki zarys zdarzenia romantycznego coraz się jaśniej cieniuje, przyczem doskonale oddane są własne jego rozumowania i domniemywania które jak zwykle nie wypadają koniecznie z korzyścią dla tych których się z obojętnego obserwuje stanowiska.

»Wtedy zadzwoniono po raz drugi. Z daleka słychać już było krzyk konduktorów: proszę siadać! i stuk drzwiczek, które się zamykały, gdy nagle ten sam mężczyzna, zadyszany i spocony, stanął przede drzwiami, spojrział do środka, w oczach jego łysnęła jakby radość, i odtrącając konduktora, który mu perswadował że tu już pełno, wszedł bez ceremonii pomiędzy nas, uderzył mię workiem po kolanach a obcasem w nagniotek, i obejrawszy się na prawo i na lewo, z owego jedynego miejsca, które było niezajęte, zrzucił pakunek jakiejś pani, i sapnąwszy usiadł. Gdy już był pewny, że go nikt nie wyruguje, wtedy przeprosił swoje sąsiadkę, starając się swoje manatki jakkolwiek ułokować, pomógł jej do zawieszenia tłumoczek na haku nad jej głową, na którym wisiał mój kapelusz, który zdjął i pomieścił naprzeciwko siebie, i usiadłszy znowu, odkrył głowę, obtarł fularem czoło, zagarnął palcami bujne włosy i pogładziwszy wąsy, rozparł się, dobył rękawiczki i zaczął je spokojnie naciągać, wygładzając starannie palce i zapinając guziczki, z którymi dosyć długo się korowodził.

Nim się to wszystko zrobiło, ubiegliśmy już kilka wiorst, gdyż skoro ów jegomość wszedł, pociąg ruszył z miejsca. Przez cały ten czas nie spuszczałem oka z nieznamojej. Na twarzy jej widać było, że kontenta, że się uspokoiła; delikatny uśmiech przebiegł po jej ustach i zrobił ją jeszcze piękniejszą; ale oczy miała spuszczone i ani razu nie spojrziała na owego mężczyznę, którego pojawienie się tak ją uradowało i oczekiwanie jej zdradziło. On także jakby jej nie uważał, jakby jej nie znał, ani się z

nią przywitał, ani słowa do niej nie przemówił. Czasem tylko spojrział ukradkiem, i wówczas we wzroku jego był blask jakiś nie zwyczajny, który zajaśniał na chwilę jak błyskawica i wkrótce zniknął w prawdziwej czy udanej obojętności. Mężczyzna ów mógł mieć już przeszło trzydzieści lat, był słuszny, dobrze zbudowany, odziany bardzo przystojnie i czysto. W rzeczach nawet które z sobą przyniósł, jako to: w worku, którym mnie uderzył, w torebce podróżnej, wiszącej na jego ramieniu, w formie czapki, która leżała na jego kolanach, w rękawiczkach, które tak troskliwie i z tak wyraźnym akcentem salonowca wdziawał, okazywała się pewna elegancja, zdradzająca człowieka przywykłego do dostatków i nie żałującego sobie w zaspokojeniu zbytkowych nawet potrzeb. Nie wiem dla czego przyszło mi na myśl, że to jest jeden z tych panów, pełnych industrii i przemysłu, co jak ptaki polne nie sięją i nie orzą, a mają zawsze wszystkiego podostatkiem, co w jesieni i w zimie garną się tam, gdzie są jarmarki i zjazdy karnawałowe, a z przyjściem lata ciągną jak żóławie za granicę, do wód, ku złoconym salom Homburga, do Wisbaden i ku malowniczym wzgórzom i parowom Bad-Badenom.

C. d. n.

Rozmaitość.

* Rachunek dochodów i wydatków miasta Lwowa, ukończony za rok 1855 po pierwszego Listopada, zawiera w sobie kilka dat ważnych i ciekawych, i najlepsze daje nam wyobrażenie o budżecie naszego miasta.

Przedewszystkiem jednakże uderza nas, ten dla urzędu miejskiego pochlebny bardzo szczegół, że z końcem roku bez żadnej zwłoki i cały rachunek zrobionym został, co zawsze dowodzi porządnego i regularnego bardzo prowadzenia ewidencji rachunkowej i dokładności podwójnej buchalterii, zaprowadzonej w miejskiej kasie. Właściwy dochód miasta wynosił 478,802 złr. 53 gr.; rozchód zaś 477,834 złr. 43 gr. Dodawszy do tego resztę z r. 1854. i przychody i wydatki z operacyj kredytowych okazuje ostateczny taki rezultat, że od 771,403 złr. 29 gr. dochodu całkowitego, odtrąciwszy summę wszystkich wydatków, bo 602,657 złr. 4 gr. pozostało w kasie 168,746 złr. 24 gr. Najwięcej uderzającym jest stosunek dochodu dóbr miejskich i kosztów administracji. Dobra miejskie przyniosły 27,706 złr. 10 gr. a administracja kosztowała 21,482 złr. 59 gr. Areszta i domy poprawy kosztują 40897; wydatki sanitarne 28,180; oświetlenie miasta 37,278 złr. drogi i bruk 36796 złr.. Na wydatki narzeszcie niewymienione wyraźnie, tylko pod nazwą *rozmaitych*, poszło 21,712 złr.

* Dnia wczorajszego odbyło się ogólne zgromadzenie towarzystwa muzycznego. Po przeczytaniu sprawozdania, umieszczonego w naszym piśmie na wniosek Jw. prezydenta p. Kalchberga wybrano komitet, który ma zająć się wypracowaniem projektu do reorganizacji towarzystwa. Oprócz dawniejszych członków dyrekcji weszło do komitetu jeszcze 15 osób, między którymi ks. Sapięha, hrabia Kazimierz Krasiecki, hr. Russocki, hr. Leopold Starzeński. Komitet

gotowy już projekt ma przedłożyć ogólnemu zgromadzeniu na dniu 10. Grudnia.

* Towarzystwo do dostarczania tanich żywności dla Lwowa zebrało już 18000 złr. m. k. kapitału obrotowego.

* Z powodu wielkich owacy, wyprawianych niedawno w Lublinie fortepianście Kątskiemu, Nestor naszych poetów, 85 letni starzec, K. Koźmian napisał wierszyk:

Zagrał Kątski Turkom koncert przed stu laty,
Ugiął ich na kolana, wytrącił bułaty.
Teraz nam zagrał Kątski do serca, do duszy
Że słuchaczom z podziwu aż podrosły uszy.
Ten klawiszem brał ruble, tamten szablą waży.
Jaki wiek, jacy ludzie, taki rodzaj chwały.

* Do Dzisiejszego numeru dołączone są dwie ryciny mód.

Przyjechali od dnia 24. do 26. Listopada do Lwowa.

PP. Onyszkievicz Adam, z Złoczowa. Jaruntowski Jan, z Małkowiec. Przedzrymirski Mikołaj, z Przemysła. Pożakowski Hieronim, z Ustianowa. Olszewski Stanisław, z Bazara. Heydel Józef, z Chmielowiec. Tyszkowski Ludwik, z Rybotycz. Nowosielski Karol, ze Sambora. Szczepanowski Karol, z Tarnopola. Sobota Karol, z Podhore. Szeptycka Anna, z Wojutyecz.

PP Kasperek Ignacy z Krakowa. Kosiński Paweł z Bóbrki. Michalewski Antoni, z Niedzielsk. Sozański Celestyn, z Błażowa. Gross Piotr, z Żurawna. Malczewski Henryk, z Gnińców. Ochocki Cyprian, z Zarwanicy. Hüttner, z Kulikowa. Starzewska Katarzyna, z Pawelec.

Wyjechali od dnia 24. do 26. Listopada ze Lwowa.

PP. Turzański Marcel do Supranówki. Antoniewicz Deodat, do Krubela. Bogdanowicz Bernard i Robert do Litiatyna. Oelberg Felix, do Stanisławowa. Gumowski Hieronim, do Przemysła.

PP. Zieliński Ludwik, do Lubyczy. Kotkowski Apolnary, do Hawłowiec. Nikorowicz do Przemysła. Stopczyński Bolesław, do Czyżek.

Kurs telegrafowany z Wiednia 23. b. m. o g. 2. popołud.

| | | | |
|---------------------------|---------|-------------------------|----------|
| Augsburg za 100 złr. | 112 3/8 | Pożyczka 5% | 73 3/8 |
| Hamburg za 100 tal. banco | 82 1/2 | Akcyje banku | 928 |
| Londyn za 1 funt szterl. | 10 58 | Kolej północna | 2027 1/2 |
| Medyolan za 300 lirów | 112 | Obl. ind. | 68 1/4 |
| Paryż za 300 franków | 130 1/2 | Nowa pożyczka z loterya | 96 3/8 |
| Agio duk. ces. | 17 3/4 | Pożyczka narodowa | 77 3/8 |

| Wczorajszy | Kurs Lwowski | Gotówka | towarem. |
|--|--------------|---------|---------------|
| Dukat holenderski | złr. 5 | kr. 12 | złr. 5 kr. 15 |
| Dukat cesarski | " 5 | " 17 | " 5 " 20 |
| Półimperyal zł. rosyjski | " 9 | " 3 | " 9 " 7 |
| Rubel srebrny rosyjski | " 1 | " 43 | " 1 " 44 |
| Talar pruski | " 1 | " 40 | " 1 " 42 |
| Polski kurant i pięćzłotówka | " 1 | " 13 | " 1 " 14 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | " 88 | " 36 | " 89 " 6 |
| Galicyjskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu | " 68 | " 18 | " 68 " 45 |
| 5 proc. pożyczka narodowa | " 77 | " 24 | " 78 " 20 |

Lwów, 23. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 26 złr. 30 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 13 złr. 15 kr. do 13 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 19 złr. 45 kr. — Ziemiaków po 11 złr. — kr. do 11 złr. 15 kr. Sąg drzewa bukowego 36 złr. 15 kr. do 43 złr. 45 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 37 złr. 30 kr. Centnar siana 2 złr. 30 kr. do 3 złr. — kr. — Centnar słomy 2 złr. — kr. do 2 złr. 5 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 złr. — kr. do 4 złr. 15 kr. w. w.

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest spis rzeczy 2go wydania „Kuchni polskiej przez Schmidta” nakład braci Jeleniów w Przemysłu.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**

Na dniu 18. Grudnia 6. r.

będzie sprzedaną w Żurawnie w obwodzie Stryjskim część stadniny z wolnej ręki. — O czem się zawiadania niniejszem chęć kupienia mających.

(225 1—3)

Zamieszkały w stolicy na-

szej nauczyciel tańców, **Antoni Schön**, dając przez wieloletnią naukę dowód swej pilności i zdolności w tym pięknym zawodzie, udziela lekcje tańców tak w swoim pomieszkaniu przy ulicy wałowej w zabudowaniu OO. Bernardynów pod liczbą 739 1/2 jako i po domach rodzicielskich i w zakładach naukowych. Najnowsze tańce, które teraz w pożyciu towarzyskiem są przyjęte, i które jak najdokładniej wkrótkim czasie w wyżej wspomianej szkole tańców wyuczyć się można, są: nowy kadryl francuski, polka tremblente, polka-mazurka, szkocka polka, cotillon, anglaise, i triolet. Dla dzieci udziela naukę tańców podług najnowszych reguł w wszystkich konwersacyjnych i solo tańcach, jako to: solo mazura, krakowiaka, kozaka, węgierskiego, kaczuki, etc.

(221 3—3)

Melodikon czyli harmonika,

instrument Deutschmana, mahoniowy na 6 octaw, i fortepian są za umiarkowaną cenę do sprzedania lub wypożyczenia. Bliższa wiadomość w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

(200 4—6)

DONIESIENIE

względem wyfloczenia wzorów do haftowania.

Handel towarów białatnych i lnianych G. Sopucha „pod piękną polką” we Lwowie przy ulicy halickiej pod liczbą 242 poleca swój dobrze zaopatrzony skład wszelkiego rodzaju płócien, stołowej bielizny, dymki, chustek jako też wszelkie gładkie wzorowane i haftowane towary białe.

Donosi oraz, że najnowsze wzory do haftowania na akiejkolwiek materji tamże się odtłaczają,

(203 6—10)